Wydawnictwa rok 7. **Drugi nakład.**

Nr. 20. Lwów, 25. Stycznia 1885. Rocznik VI.

STRAŻNICA POLSKA

REDAKCYA ulica Trybunalska Nr. 1.
ADMINISTRACYA i EKSPEDYCYA
Rynek l. 9., dokąd wszelkie należytości przysyłać należy.
Sprzedaż pojedyńczych numerów w Antykwarni p. L. Pordesa, ul. Trybunalska l. 1., w Administracyi Rynek l. 9, i w Redakcyi ul. Trybunalska l. 1.
W Stanisławowie u kolporteru p. G. Paternowskiego.

DWUTYGODNIK
POLITYCZNO-EKONOMICZNO-SPOŁECZNY.
WYCHODZI CO DRUGĄ NIEDZIELĘ.
Numer pojedyńczy kosztuje 12 centów.

PRZEDPŁATA
na „Sztandar polski" i „Strażnicę polską" kosztuje kwartalnie:
we Lwowie (bez przesyłki) 1 zł. 50 ct.
„ z przesyłką 1 „ 70 „
na prowincyi . . . . . 1 „ 75 „
za granicą . . . . . 2 „ — „
Inseraty od wiersza (petit.) 5 ct.

Dajemy „Drugi nakład" spóźniony z powodu konfiskaty przez c. k. Prokuratoryę państwa: „Życiorysu śp. Dra Tadeusza Żulińskiego" i fejletonu p. t. „Garstka" (dalszego ciągu).

Jeszcze kilka słów o sejmiku relacyjnym we Lwowie i kilku innych.

Jak się dowiadujemy z różnych stron kraju, sejmiki relacyjne pp. Posłów, bynajmniej nie zadowolniły ogółu; ciekawym zaś był podział ról, gdzie w jednem miejscu jak np. we Lwowie, występował p. Dr. Euzebiusz Czerkawski, ale tylko jako poseł, a chociaż trudno mu było ominąć, że jest równocześnie delegatem do Rady państwa, unikał tego drażliwego sprawozdania, a mówił tylko jako poseł do sejmu. Wiedział on jednakowoż dobrze co czyni, gdyż nie uniknąłby interpelacyi, na którąby mu było przyszło z trudnością odpowiadać, bez silnego skompromitowania swoich przyjaciół politycznych w Kole polskiem. Gdzieindziej, jak np. w Stanisławowie, gdzie stronnictwo stańczykowskie, zapuściło nadspodziewanie silne korzenie, miał p. Dr. Biliński daleko łatwiejszą przeprawę, gdyż pomimo opozycyi i innych zapatrywań wyborców „niezależnych", umiano tak sprawę poprowadzić, że sforsowano Dr. Ignacego Kamińskiego do postawienia wniosku, aby udzielić p. Bilińskiemu absolutoryum.

Jakkolwiek jesteśmy bardzo życzliwi p. Dr. Ignacemu Kamińskiemu, to jednakowoż ze zdumieniem zapytujemy: co go mogło do tego kroku nakłonić, aby takim wnioskiem usprawiedliwiać po prostu czynności kolegów z delegacyi i Sejmu, a tem samem uważać za słuszne zamachy, jakich się przeciw niemu w Kole polskiem i w Izbie se,mowej dopuszczono. — Najżyczliwsi przyjaciele polityczni p. Kamińskiego, zostali tym faktem zdumieni. Widać że się czasy zmieniają, gdy wyborcy Stanisławowa, którzy kilka lat wstecz, przodowali demokratycznem poczuciem, od czasu wyborów p. Dr. Bilińskiego idą wprost przeciwnie. Żałujemy ich serdecznie i życzymy, aby się za późno nie spostrzegli, gdzie ich to zręczny machiawelizm prowadzi.

Wróćmy jednak jeszcze do Lwowa, gdzie to przy usiłowanych manewrach p. Jana Dobrzańskiego chronił się p. Dr. E. Czerkawski od wyczekujących go interpelacyi, jako delegat do Rady Państwa.

Chronił się zaś tem, że jest posłem ze Lwowa a delegatem z Brzeżan. Może jednakowoż być pewien, że ci wyborcy ze Lwowa, nie tak rychło zapomną o tej lakonicznej odpowiedzi, którzy mieli na pogotowiu n. p. taką interpelacyę: — Kto cokolwiek jest obeznany z działalnością różnych stronnictw w Radzie Państwa, ten wie o tem bardzo dobrze, że pojedyncze grupy czyli kluby, jeżeli jest jakakolwiek ważniejsza sprawa na porządku dziennym, zawczasu się o niej naradzaja i rozbieraja takową; i każdy członek klubu jest przez to naprzód obeznany, ma czas do zastanowienia się, jak ma następnie według własnego przekonania i sumienia głosować. W Kole polskiem, tam się zupełnie inaczej dzieje, tam, że tak powiemy, oprócz komendanta i jego kilku szefów sztabu, reszta delegatów nie ma prawa formalnie wglądać w pojedyncze sprawy i nad nimi się naprzód zastanawiać. Dosyć łaski i honoru dla nich, że dopiero w przededniu rozprawy w Izbie, dowiadują się powierzchownie o_co rzecz idzie i jak członkowie Koła polskiego głosować powinni.

Cóż więc naturalniejszego, że większość członków „Koła" musi się zgadzać i głosować w myśl umowy, jaką zawarło naszych „pięciu" mężów stanu, (wliczając w to już p. Kazimierza Grocholskiego) „z piętnastką" zawierającą wszelkie umowy.

Czechy i inne kluby rozbierają ważne sprawy wcześnie; — dla naszych tylko delegatów praca taka jest za utrudzającą. Prezesowi klubu p. Kazimierzowi Grocholskiemu wystarcza, co mu powie p. Hohenwarth i jakie jest życzenie...

Cóż ztąd wynika? Oto, że w Kole polskiem odpadło już wszelkie poczucie o ideale wzniosłości,że wszystko idzie jedynie wedle rachuby silnych wpływami jednostek, trzyma się poziomu a o, czynnych dążnościach odpowiednich prawom i wymogom kraju nie może być mowy. Na ten temat moglibyśmy wiele pisać i odkryć zasłonę kryjącą tak smutne fakta, o których kraj i wyborcy nie mają wyobrażenia. Pojmujemy, że w „Kole polskiem" musi istnieć pewien regulamin, który wyradza łączność w działalności delegacyi naszej. Nigdy jednak nie zgodzimy się na to, że posłani Mężowie zaufania do Rady Państwa, mają zatracać wszelki charakter niezależności; — gdy nie mówimy już w Izbie delegacyjnej, ale w „Kole polskiem" nie wolno ust otworzyć i zabrać głosu bez poprzedniego zezwolenia i cenzury prezesa, lub też wyroczni „piątki". — Ale dlaczego się to dzieje? Oto, aby ta garstka posłów, która chce zachować swoją niezależność, nie mogła wypowiedzieć tego, co myśli i czuje i co jej nareszcie sumienie obywatelskie wypowiedzieć nakazuje.

Z niedawnego czasu bo z sesyi przedświętnej z końca 1884 r., mamy np. do zanotowania fakt takiej natury, że gdyby go wyborcy znali w całej nagości, na co są narażeni pewni delegaci, to zaiste brakło by słów oburzenia. Z faktem tym wstrzymujemy się na razie, bo wystąpienie w tej chwili, przebrzmiałoby we właściwym czasie bez echa. Nadmienimy tylko tyle, że gdy nawet jest na porządku dziennym obowiązek upominania się, wskutek nieposzanowania godności poselskiej przez osobistości, które w pierwszym rzędzie nie mają prawa zapominać, iż poseł występujący jako delegat w imię swoich wyborców, nie może być lekceważony, ani mu też ubliżać nie wolno, tem więcej, że nawet sam najszlachetniejszy nasz Monarcha i Cesarz nigdy jeszcze posłowi żadnemu tego uczuć nie dał.

Cóż więc myśleć, jeżeli sprawa taka wytoczoną zostanie przed Koło polskie, większość tegoż usprawiedliwia czyn i przechodzi nad nim do porządku dziennego?

Sprawę tę podniesiemy, przy sposobności nowych wyborów do Rady Państwa, aby dać wskazówkę i dowieść, jakie to prądy panują w dzisiejszym „Kole polskiem" we Wiedniu.

Jedyny sejmik relacyjny, który mógł zadowolnić wyborców, o ile nam wiadomo, odbył się w Samborze. Dwóch posłów wprawdzie nie przybyło — p. Małecki przysłał jednakowoż list oznajmiający, że z powodu choroby przybyć nie może i rzeczywiście p. Małecki był natenczas chory. Czem się zaś usprawiedliwił p. Piotr Gross, o tem milczą kroniki.

Zaproszony przez przewodniczącego p. Dr. Tadeusz Skałkowski do sprawozdania mówił jak następuje:

Na myśl, że autonomia, u nas przez tyle lat istniejąca, nie wydała rezultatu, doznajemy uczucia upokarzającego, zwłaszcza, gdy porównamy ten okres czasu z 15 laty autonomii w Królestwie przed 1830 r. Tam oddano krajowi rzeczywiście samorząd, który w takie zasoby wzmógł kraj, iż mógł się zmierzyć z całą potęgą caratu. Tu rząd sobie wszystko zatrzymał, a reprezentacyi krajowej dał tylko prawo nakładania podatków w formie dodatków do podatków. Ministerstwa systematycznie nie przedkładają do sankcyi uchwał sejmowych, wskutek tego sejm zeszedł do znaczenia dużej Rady powiatowej, i załatwiają się w nim prawie same kwestje administracyjne. Mowca wymienia kilka ważniejszych spraw w sejmie załatwionych. Przed dwoma laty postawił wniosek w sejmie poseł Wrotnowski o utworzenie zbiorowych kas pożyczkowych gminnych. Sejm uznał szkodliwość tego wniosku, i przeszedł nad nim do porządku dziennego. Poseł brał udział w naradach komisyjnych nad tym wnioskiem, i tam już przeciw niemu się oświadczył.

W sprawie statutu kolei Transwersalnej postawił poseł Hausner wniosek, którym chciał prawa kraju naszego odzyskać, pominięte w statucie ułożonym w duchu centralistycznym. Kraj ponosi straty przez oddawanie dostaw obcym liwerantom i przez niestósowne taryfy. Większość jednak sejmu, pod wpływem dwóch ministrąw, oświadczyła się przeciw wnioskowi Hausnera, a nawet i przeciw wnioskowi komisyi.

Ważne są ustawy konkurencyjne i drogowe, które sejm uchwalił, ale jeszcze sankcyi nie otrzymały. Usposobienie w ministerstwie tak jest stanowcze przeciw sankcyonowaniu uchwał sejmowych, iż jak słusznie referent ustawy konkurencyjnej, poseł Rittner powiedział, iż gdyby nawet radca ministeryalny układał ustawę sejmową, to drugi radca ją odrzuci.

Następnie porównując budżet krajowy z r. 1876 i 1885 zatrzymał dłużej uwagę nad kwotą 80.000 uchwaloną na podniesienie przemysłu kraj. w budżecie z r. 1855. Przemysłowi krajowemu należy się pomoc, ale aby tak małym funduszem dało się podnieść przemysł krajowy, mowca nie jest pewny. Plan ten polega na złudzeniu.*) W Królestwie Kongresowem były także fundusze na podniesienie przemysłu, ale daleko większe. Zresztą były cła ochronne i inne były wówczas komunikacye, ułatwiające konkurencyę. Ujemna strona podniesienia przemysłu i dobrobytu leży w tem, iż nie pilnujemy, aby nie zabijano tego co mamy. Zniszczono przemysł naftowy i gorzelany. Unikajmy najpierw klęsk na polu istniejącego przemysłu, a potem starajmy się tworzyć nowe gałęzie.

Rubryki 376.000 na umorzenie pożyczek w pierwszej epoce nie było, bo wówczas mieliśmy około miliona zapasów, a teraz mamy 5 milionów długów. Na amortyzacyę tych długów wypada 4 ct. od guldena. Milion pożyczono na gmach sejmowy. Mowca był przeciwny budowie gmachu.**) Drugi milion pożyczono na kolej Transwersalną, którą i bez pomocy kraju byłby rząd wybudował, ponieważ

*) Poseł Goldman zbył tę interpelacyę niewczesnym i niesmacznym żartem. Red.

**) Tak samo poseł Krukowiecki. Red.

jest potrzebną na cele strategiczne. Lecz kraj dał w tej nadziei, w której go p. Grocholski utwierdził, że rząd uzna życzenia kraju, aby dyrekcya była w kraju, i aby język polski był urzędowym. Te zapewnienia się nie ziściły. Milion dał sejm na Bank krajowy, a resztę długów zaciągnięto na konwersje i pokrycie niedoborów.

Mowca podnosi smutny objaw położenia ekonomicznego kraju. Dawniej jeden cent dodatku krajowego przynosił 100 tysięcy, a teraz tylko 96 tysięcy.

Wreszcie przedkłada wyborcom plan regulacyi Dniestru w powiatach samborskim, rudeckim, drohobyckim i żydaczowskim. Sprawą tą jako najbliżej obchodzącą, bardzo się wyborcy zainteresowali i na różne pytania dawał p. poseł wyczerpujące odpowiedzi.

Dla poparcia tej sprawy uchwaliło zgromadzenie wnieść petycyę do Rady państwa.

P. Janko wnosi, aby posłom naszym wyrazić wdzięczność za ich gorliwą czynność obywatelską. Lecz aby ich uprosić, by zwracali uwagę rządu na ekonomiczny stan kraju, ponieważ siła podatkowa upada. Że należy się starać o to, aby delegacja była jak przedtem wybierana w sejmie, bo tym sposobem życzenia sejmu miałyby większą wagę. A teraz delegacja z Wiednia powraca zawsze tylko z tem zapewnieniem, że rząd sprzyja krajowi. Należy także rząd skłonić, aby takowy myślał nietylko o tem, by płacić podatki, lecz aby w to wglądnął, jak mamy płacić podatki, czy możemy płacić.

W skutek tej przemowy, popartej, przez hr. Dunina, p. Rayskiego i p. Podolskiego, powzięli zebrani następujące uchwały:

„Wyborcy okręgu samborskiego wyrażają swoim posłom wdzięczność za dotąd łożone starania ku przeprowadzeniu ich życzeń. Domagają się najusilniej przeprowadzenia regulacyi głównych i dopływowych rzek, pustoszących dotąd w najdotkliwszy sposób powiaty nadbrzeżne. Wzywają pp. posłów, aby zwracali uwagę rządu na olbrzymim krokiem wzrastający upadek ekonomiczny kraju, przez zniszczenie gospodarstwa rolnego kolejowemi taryfami różniczkowemi, a gorzelnictwa i przemysłu naftowego wygórowanemi podatkami, i wezwali go do użycia stosownych środków, aby ogólnemu zubożeniu kres położyć. Nie mogą się także wstrzymać od tej uwagi, że od czasu pozbawienia sejmu prawa wyboru do Rady państwa i zgubnych ztąd następstw, przez brak spójni delegacyi z sejmem, złe coraz więcej wzrasta."

P. Rayski zapytuje posła w sprawie istniejących klubów w sejmie. Jak wiadomo istnieje w sejmie klub prawicy, złożony z klubu podolskiego i części klubu krakowskiego. Program jego jest bardzo jasny, postępować tak, jak rząd chce propagować posłuszeństwo bez opozycyi i bez zdania, tak jak to czyni każdy wachmistrz od żandarmeryi, a do stosunków kraju trzyma się zasady „naj bude, jak buwało." Klub środkowy, z programem jak niebo szerokim, skompromitowany w najniestowniejszy czas podniesioną ideą Jagiellońską, a potem zmodyfikowaną do obowiązku słuchania natchnień od sfer rządzących. Życzyłby sobie, aby był klub utworzony z wyraźnym programem i aby inicyatywę w tem wzięli nasi posłowie. Aby klub stał twardo przy życzeniach kraju.

P. Skałkowski wyjaśnia, iż klub posłów nie mógł się utworzyć, ponieważ była scysya między Czerkawskim a Hausnerem, z których jeden musiałby zostać prezesem klubu. Potem chciał to uczynić ks. Adam Sapieha i było już 20 posłów przychylnych tej myśli, ale książe samod niej odstąpił. Mowca zgadza się z potrzebą utworzenia trzeciego klubu, ale nie widzi sposobu, jakby się dało wykonać.

P. Janko zabiera głos jako poseł, chociaż nie z tej kurji i wyjaśnia, iż utworzenie trzeciego klubu było rzeczą niemożliwą. P. Czerkawski nie był wdanych stosunkach osobą odpowiednią na przewodniczącego, a ks. Sapieha nie chciał.

P. Podolski popiera wniosek p. Rayskiego w tym kierunku, aby posłowie samborscy wzięli inicyatywę w utworzeniu trzeciego klubu.

P. Kasparek wyraża zapatrywanie, iż cały sejm powinien tylko jeden klub stanowić.

P. Rayski wyjaśnia, iż historya parlamentarna uczy, że ciała prawodawcze zawsze mają więcej klubów, jako przykład przytacza Anglię. Chce aby w sejmie był taki klub, któryby przedewszystkiem reflektował na życzenia kraju, a nie oglądał się na to, co się w Wiedniu podoba.

P. Dolański żąda, aby klub był zawiązany na podstawie rezolucyi sejmowej z r. 1868, i stawia następujący wniosek:

„Wyborcy wyrażają życzenie, aby nasi posłowie dali inicyatywę do utworzenia klubu, któryby dążył do urzeczywistnienia zasad zawartych w rezolcyi sejmowej z r. 1868."

Wniosek ten jednogłośnie uchwalono.

P. Dolański wyraził także życzenie, przyjęte przez zgromadzenie, by Rady powiatowe wnosiły do Rady państwa petycye domogające się przeprowadzenia regulacyi rzek galicyjskich.

Taki był przebieg sejmiku relacyjnego.

Pan Dr. Tadeusz Skałkowski, który ma wiele miru pomiędzy swymi wyborcami, tym razem zasługuje na szczególne uznanie, gdyż niezależność jego poselska staje przed nami jasno. Rzeczywiście potrzeba było prawdziwie obywatelskiej cywilnej odwagi, aby nie oglądając się po za siebie, mówić prawdę.

WYSTAWA KRAJOWA

pszczelniczo-ogrodnicza i przemysłu domowego w Tarnopolu.

(Dokończenie.)

Wracamy jeszcze raz do wystawy krajowej we Lwowie w r. 1877, gdy to po raz pierwszy uznano, że tak powiemy urzędownie, niektóre gałęzie przemysłu domowego jako bardzo żywotne, a wprowadzone w życie, mogące z łatwością zmienić dolę tysięcy rodzin. Do takich działów produkcyi przemysłu domowego, które się miały stać specyalnością galicyjską, zaliczono koszykarstwo. I rzeczywiście — pierwsze okazy przedstawiały się tak świetnie, że nie było najmniejszej wątpliwości, aby się rozpowszechnienie tej pracy miało nieudać, lecz przeciwnie, wierzyli nawet najwięksi pessymiści, iż koszykarstwo zatrudnić może w Galicyi tysiące rąk i stanie się artykułem wywozowym. Zbiorowo i na ochotnika zawiązywały się komitety i otwierano szkoły koszykarskie. Mianowicie dużo hałasu robił w tym względzie Kraków, dokąd ministeryum handlu przysłało nawet specyalnego nauczyciela koszykarstwa. Dalej powstała szkoła koszykarska w Jarosławiu, która po dziśdzień wegetuje pod protektoratem księcia Jerrego Czartoryskiego, a która dotąd dużo pieniędzy kosztuje, gdyż opiekuje się nią i Wydział krajowy, a Sejm wyznacza subwencye. Ze szkół więcej prywatnej natury, wymienimy jeszcze tylko jedną, która nam się przypomniała na Wystawie tarnopolskiej. Jest to szkoła założona przez dyrekcyę kolei Galicyjsko-węgierskiej w Nowym Sączu, która jedyna obesłała wystawę. Widzieliśmy już te wyroby na wystawie w Przemyślu, a patrzyliśmy wtenczas na nią jako na produkcye początkowe. Pomimo dwóch lat czasu, udoskonalenie wyrobów koszykarskich w tej szkole nie posunęło się prawie naprzód. Jedyna różnica, że każdy wyrób oznaczony był pretensyonalnie wysokiemi cenami. Jest to jednakowoż choroba nieomal całego naszego przemysłu domowego w Galicyi, którego główne ogniska czyli wrzekome „szkoły", prowadzone podług dyletanckich poglądów pp. protektorów, chybiają najzupełniej celu. To też upadek tych wszystkich zakładów jest tylko kwestyą czasu. Zmarnowało się poprostu wiele pieniędzy, a jeszcze więcej czasu, lecz i te błędy nie są jeszcze największe, gdyby się nie rodziło coś smutniejszego, a to: wielkie zniechęcenie publiczności, gdy ją zmuszano płacić idealnie wygórowane ceny za wyroby krajowe. Przyczyny należy szukać w tem, że zupełne zapoznanie, jak torować drogi zbytu dla przemysłu domowego, musiało publiczność zniechęcić. Tak samo jak szkoła garncarska, i szkoły koszykarskie stworzone zostały właściwie na to, aby niemi uposażyć dobrze pp. nauczycieli koszykarstwa, dyrektorów, kontrolerów etc. Oddanie nauki, pracy i zbytu w ręce powyżej wymienione, zamieniło te zakłady na osobiste spekulacye, otwierając drogę do nadużyć. Takim pp nauczycielom, dyrektorom i kontrolerom, nie przeszło nawet przez myśl, że przemysł domowy jeżeli ma zakwitnąć, winien się starać głównie o to, aby wytrzymał konkurencyę zagraniczną. Chcąc zaś do tego dojść, należało przedewszystkiem przekonać wprawdzie nie bardzo chętne nasze kupiectwo, że dla niego nie ma interesu w sprowadzaniu towarów koszykarskich z zagranicy. Szczególniej wszelkie zamówienia kupieckie, jeżeli takowe szkoła koszykarska przyjmowała, powinny być z wszelką akuratnością i na czas odstawiane.

Działo się jednakowoż i dzieje zupełnie inaczej, i moglibyśmy wyliczyć mnóstwo przykładów, że gdy kupiec zamówił pewną ilość wyrobów koszykarskich, a zarząd szkoły przyrzekł odstawę za miesiąc, dwa lub trzy najdalej, kupiec odbierał takową dopiero po roku, lub też wcale nie miał wiadomości żadnej o swem zamówieniu. A działo się i tak, że na kilka urgensów, listów i kart korespondencyjnych, zlitował się nareszcie pan profesor koszykarstwa lub jaki dyrektor, odpowiadając lakonicznie, że zamówienie nie może być uskutecznione. — Dlaczego? — bo szkoła była zajęta robotami i zamówieniami dla różnych prywatnych protektorów szkoły, dygnitarzy i przyjaciół, bawiąc się pojedynczą sprzedażą na sztuki.

Że jednak na szkoły wydawano mnóstwo pieniędzy, potrzeba było wykazać, ile się za takowe wykonało wyrobów, które zapełniały magazyny. Przed dwoma laty zwiedziliśmy szkołę w Jarosławiu; pracowało tam coś z dziesięciu uczniów, w warunkach, które pouczały, jak się taka szkoła prowadzić nie powinna. Blagą świeciła z każdego kąta. Zaprowadzono nas nareszcie do dużego magazynu, który cały był zapełniony wyrobami koszykarskiemi, przedstawiającomi ekwiwalent wydatków na szkołę i jej produkcye. Że zaś z tego rodzaju wyrobami jesteśmy dobrze obeznani, przekonaliśmy się namacalnie, że było tam wprawdzie cokolwiek wyrobów niezłych, lecz przeważna część przedstawiała tandetę, oznaczoną niepraktykowanie wysokiemi cenami. Nie mówimy tu o cenach, jakie się praktykują w pojedynczej sprzedaży w handlach, bo wychodząc z poglądu kupieckiego, żądaliśmy objaśnień o cenach hurtownych. Pokazało się, że te z wyrobami nadsyłanymi z zagranicy, nie mogą w żaden sposób kokurencyi wytrzymać, a gdyby przyszło komuś na myśl, że chciałby na handel cały zapas wyrobów zakupić, to zarząd szkoły musiałby co najmniej 40 prc. opuścić.

Z takich to powodów nie pozostało śladów po szkole koszykarskiej w Krakowie, a Jarosławska i inne są tylko ironią, figurującą w rocznych sprawozdaniach, publikowanych przez odnośne komisye przemysłu domowego, sprawozdaniach sejmowych i po dziennikach. Szkoła jarosławska nie uznała nawet za właściwe obesłać wystawy w Tarnopolu.

Gdyby kapitały na szkoły koszykarskie, rzucone po prostu w błoto, były dane do dyspozycyi n. p. takiemu Karolowi Kellerowi we Lwowie i kilku innym, którzy zaczęwszy dziesięciu palcami, umieli rozwinąć swe warstaty i dziś jak Keller zamienić takowe w fabryki, to koszykarstwo zagraniczne byłoby zupełnie z Galicyi wyrugowane.

Wprawdzie wyuczono niby kilkuset włościan koszykarstwa, ale gdy tychże pozostawiono bez dalszej opieki, nie otworzono ognisk zbytu dla ich wyrobów, to cóż ztąd wynikło? Oto jedni poporzucali niewdzięczną pracę, a z innych wytworzył się nowy zastęp proletaryatu, nierobów, dla których koszykarstwo otworzyło poprostu drogę do żebraniny. Taki koszykarz z kilku sztukami lichej produkcyi, wędruje na każdy jarmark i targ, a gdy tych nie staje, chodzi od wsi do wsi, od miasteczka do miasteczka, i jest niczem więcej jak tylko żebrakiem. Oto są skutki naszych empirycznych fantazyj, chwilowej gorączki patryotycznej, po których w krótkim czasie nic nie pozostaje, jak tylko trochę szkodliwego organizmowi społecznemu swędu, który jednakowoż pseudo protektorów i twórców podnosi w publicznem znaczeniu chwały i poświęcenia.

Po tych niemiłych ale koniecznych uwagach, które nam nastręczyły myśli o wystawie tarnopolskiej, spojrzmy jeszcze na kilku pionierów wytrwałych, a pracujących z dobrym skutkiem w przemyśle krajowym.

Otóż zbliżamy się do wystawy p. Jana Ihnatowicza, którego dział kosmetyków, mydeł i perfumeryi, tyle psuje krwi rozmaitym znakomitościom w Wiedniu i w Paryżu. — Jak zaczął p. Ihnatowicz pracować przed 10ciu laty, o tem pisaliśmy już niejednokrotnie; przypominamy tylko, że kapitałem jego były: trzeźwa głowa i umysł, zdrowe ręce i 5 złr. kapitału. Dziś posiada p. Ihnatowicz trzy magazyny we Lwowie, a jeden w Krakowie, a oprócz fabryki kosmetycznej i fabrykę zwyczajnego mydła. Nie powiemy nic za wiele, że jego wszelkie produkcye nie ustępują w niczem najlepszym europejskim, i że z każdym dniem stawiają coraz silniejszą zaporę importowi zagranicznemu.

Przypatrzmy się Ihnatowiczowi, albo Ludomirowi Czyńskiemu z Jarosławia, którzy w jednym czasie prawie rozpoczęli swą pracę przemysłową, co to może zdziałać wytrwałość, liczenie się z samym sobą. Gdyby Galicya liczyła takich przemysłowców więcej, nie wyglądałby nasz przemysł i handel tak smutnie. Nie potrzeba by się uciekać do środków ratunku, jaki rodzi nowa gwiazda ekonomiczna, p. Dr. Tadeusz Rutowski, że chcąc stworzyć przemysł w Galicyi, potrzeba sprowadzić — „Niemców".

Broń myśliwska nie małą także rolę odgrywa w naszym handlu krajowym. Na Galicyę wschodnią głównym reprezentantem tego działu jest p. Alfred Dzikowski we Lwowie, który oprócz znacznego składu wszelkiej broni i przyborów zagranicznych, otworzył warstaty rusznikarskie, których głównym kierownikiem jest uzdolniony rusznikarz p. Tabaczkowski, który przedtem pracował na własną rękę, lecz mu się jakoś nie wiodło. Otóż kilka strzelb, z tego warstatu wysłał p. Dzikowski na wystawę tarnopolską, a wyjąwszy luf, dla wyrobu których są specyalne fabryki w Europie, wszystko zresztą

M. T. Rajewski i rossyjski panslawizm.

Wspomnienia z chwil przeżytych i przedumanych — napisal **Kornel Ustyanowicz**, przełożył z ruskiego **Mieczysław Wolański**.

(Ciąg dalszy).

Starałem się usprawiedliwić świętojurców, bo serce moje było wówczas wciąż jeszcze podzielone, i niejako do obu stronnictw należałem. Usprawiedliwiałem ich tem, że niektórzy ukrainofile sami spowodowali nieuzasadnione podejrzenie na partyę o zaprzedanie się Lachom. Mianowicie zawinili Ksenofont Klimkowicz i Teodor Zarewicz. Pierwszy wydawał *Metę;* gdy ta przestała wychodzić, pojechał do Wiednia, brał pieniądze od Rajewskiego na wydawnictwo w języku moskiewskim *Sławiańskiej Zarji*, a powróciwszy do Lwowa, wydawał wspólnie z Teodorem Zarewiczem, byłym redaktorem *Weczernyć* za polskie pieniądze *Ruś*.

Jednak później przekonałem się, że što-jurcy dobrze wiedzieli o tem, iż Klimkowicz tylko dla chleba redagował *Zarję sławiańską*, nie sprzeniewierzył się nigdy swej narodowej idei, i że tak on, jak i Zarewicz i O. Lewicki objęli redakcyę *Rusi* tylko dla tego, aby nie popadła w niebezpieczne dla Rusinów ręce; što-jurcy wiedzieli i o tem, jak oni eksploatowali Abaukura i jak doprowadzili *Ruś* do tego, że Gołuchowski zmuszony był wytoczyć proces jej redaktorowi o nadmierne występowanie i podburzanie przeciw Polakom i przeciw niemu samemu. Wiedzieli oni o tem, bo mi sami o tem opowiadali, a szczuli na narodową partyę dlatego tylko, że bali się rozgromu.

I nie zawiedli się. W roku, zdaje się 1869, odbywało się zwyczajne zebranie „Ruskiej Besidy". Na to zebranie zjawili się ukrainofile w komplecie; što-jurców przybyło mniej, i ukrainofile mieli przewagę. Postanowili więc wykorzystać sytuacyę i przeforsować kilku swoich do wydziału „Besidy". Tak się też stało, że do zarządu „Besidy" weszła większość „młodych".

I cóż myślicie, starszyzna nasza uczyniła? — Czy pozostała w „Besidzie", ufna w swój szacunek i zasługi, których jej nikt nie odmawiał? Czy starała się wpłynąć chłodną rozwagą na młode umysły, aby nie dopuścić do grożącego rozdwojenia? — Nie! Ona gromadnie wystąpiła z „Besidy", a wystąpiła, pozostawiając tam nie zapłacone wkładki po 60 do 80 zł., i zarządzając „Narodnym Domem", starszyzna ta podwyższyła czynsz, a następnie wypowiedziała „Besidzie" pomieszczenie w tem, za narodowe pieniądze dźwignionem schronisku ruskiem.

Krok ten naszej galicyjskiej starszyzny, uważałem za niepolityczny, niepatryotyczny, za szkodliwy dla ruskiej sprawy w Galicyi, bo rozdzielił on galicyjską inteligencyę na dwa wrogie sobie ruskie obozy.

Były wprawdzie i dawniej nieporozumienia, znaczne nieporozumienia, kryjące się pod pokrywką kwestyi pisowni, ale Rusini żyli wspólnie, i wadzili się i godzili pod jedną strzechą. Obecnie stało się inaczej. Rusini podzielili się na dwa polityczne stronnictwa, zaczęli jedni drugich unikać, obmawiając się poza oczy, i podając tem samem bicz na siebie w ręce swych wrogów.

Z ukraińskiego obozu wykrzykiwano na što-jurców, żo to moskale; z što-jurskiego na ukrainofilów, że to Polacy — i nienawiść do narodowego ruskiego języka tak što-jurców przejęła, że codziennie wyśmiewali nasz język, wynosili się ponad naród, z którego wyszli, plwali w oczy naszej sławnej kozaczyznie, co za wolność głowy oddała, i ostentacyjnie zaczęli między sobą używać języka — polskiego.

Słyszę jakby dziś, — gdy przyszedłem pewnego razu do restauracyi, gdzie obecnie Stadtmüller, i zastałem tam dwóch moich znajomych, którzy później wysokie stanowiska zajęli między Rusinami — jakby dziś słyszę tę odpowiedź, którą mi dali na pytanie: dlaczego mówią do siebie polsku? — „Po moskiewsku — odpowiedzieli — nie umiemy, po chłopsku mówić nie chcemy, a więc mówimy mową cywilizowaną, polską!"

Jakiż cynizm, jaka ślepa nienawiść do swojskiego! Oni nie mogli tego pojąć, że każdy język w ustach chłopa jest chłopskim, a w ustach wykształconego człowieka, językiem wykształconym.

Podobne wyśmiewania z naszego prześlicznego języka słyszałem często — i rzewnie przemawiały do mnie słowa ojca mojego:

„Oj łyszy z ruska dityni śpiwaty,
Bo ruska dumka — samnyj chrest na hrobi,
A ruska mowa — sorom na podobi,
A ruske serce — tuha stepowaja,
A ruska dola — syrota nimaja.

(O przestań dziecku ruską piosnkę śpiewać,
Bo ruska dumka — smętny krzyż na grobie,
A ruska mowa — wstydem dzisiaj tobie,
A ruskie serce — to próżnia stepowa,
A ruska dola — sierota, niemowa).

Takie i tym podobne wypadki, odwróciły mię całkiem od partyi starszyzny, a przyłączyły do partyi młodszych. Pojmowałem, że można kochać i moskiewskie i swoje, nie sprzeciwiałem się zasadzie: „et hoc faciendum et illud non omittendum" i widziałem to na uczących się dobrze języka moskiewskiego, ukrainofilach; jednak aby miłość języka, którego się nawet dobrze nie zna, tak wyrugowała z serca język rodzinny, język macierzyński, aby się nim brzydzić, aby go podawać wrogom na urągowisko, tego nie mogłem w mej głowie pomieścić, i serce me odwróciło się całkiem, odwróciło się na wieki od tej idei, którą kochałem, a która spłodziła tak nienaturalne dziwolągi.

Sytuacya polityczna była wówczas dla nas groźną. Ministerstwo było przeciw nam, a polityczny rozum nakazywał zaprzestać sporów i działać społączonemi siłami. Tajne donosy Gołuchowskiego na halicką Ruś, przedstawiły ją — nie bez przyczyny — u rządu i Monarchy za taką, która rzuca się na oślep w ramiona Moskwy, a wice-marszałek sejmu Ławrowski, jeszcze rok przedtem przekonał posłów ruskich, że powinni się trzymać innej polityki, jeżeli mamy uratować od zagłady narodowość naszą w Austryi.

I tak też zrobili. Ławrowski wygotował w formie ugody z Polakami — akt, zawierający w sobie żądania Rusinów, zwrócone do Sejmu.

Widząc nieżyczliwość korony, przeciwność ministerstwa, upadek wyzyskującego nas tylko centralizmu, i widząc, że krajowe sprawy przecież musiały być poruszane w Sejmie, — trzeba było bądź co bądź trzymać się aż do końca tej tak zwanej „ugodowej polityki", i kto wie czyby nam się było wreszcie nie udało chociaż cokolwiek wytargować dla ruskiej narodowości.

Lecz stało się inaczej. Nasi moskiewscy przyjaciele — (kilka lat przedtem nawet sam P. Kulisz w piśmie do Dziedzickiego) ostrzegali przed zgodą z Polakami, a niemieccy centraliści pisali list za listem do naszych posłów, aby nie wchodzić w żadne układy z Polakami, lecz stanąć w ostrej opozycyi przeciw nim i przeciw federalistycznemu rządowi.

Ruscy deputowani idąc z Naumowiczem i Halką, opuścili Ławrowskiego, a nawet stanęli przeciw niemu i ugrupowali się koło W. Kowalskiego, — a Ławrowski, wybrany prezesem towarzystw „Besida" i „Proświta" starał się oprzeć swą ugodową politykę na ukrainofilach — i rozdwojenie między Rusinami zaostrzyło się jeszcze bardziej.

Do tego rozdwojenia przyczyniały się niemało obie te czynne i bezzaprzeczenia patryotyczne osobistości, Ławrowski i Kowalski.

Znałem ich obu, ale nie sympatyzowałem ani z jednym, ani z drugim.

Kowalski był szorstki, zanadto się ceniący, autokrata, a Ławrowski gładziutki polityk. Pierwszy działał zgubnie dla Rusinów przez swoją nietolerancyę dla wszystkiego, co mu się nie podobało, a drugi przez oczywiste dążenie kupowania sobie ludzi różnemi materyalnemi obiecankami. — Ani jeden ani drugi nie mieli wyższego poglądu na rzeczy, polotu myśli, — słowem, żaden nie był tym wszystko-miłującym, wszystko-pojmującym, o wszystko dbającym geniuszem narodowym, na którego by można jakby na jaki obraz patrzyć, któregoby można uznać za nieomylnego twórcę i śmiało iść za nim, dokąd tylko poprowadzi.

Kowalski opierał się i dotąd się opiera na Niemcach centralistach, a Ławrowski opierał się na polskiej arystokracyi i był zwolennikiem federalizmu. Nie mogło się stać inaczej, jak tylko tak, że ja, któremu reminiscencye słowiańskie w żaden sposób nie pozwalały bratać się z Niemcami, poszedłem za Ławrowskim, chociaż mu i nie bardzo wierzyłem, a poszedłem więcej z tego powodu, że on dawał oparcie narodowemu stronnictwu i nawoływał: aby porzucić wysoką politykę, a zająć się całą duszą oświatą ludową i wszelką, jak to nazywają, organiczną pracą.

Nie powinienem właściwie o tych rzeczach wspominać, bo one nie powodowały mię do zastanawiania się nad sobą i nie rodziły w mej duszy nowych myśli i wątpliwości. Jednak czynię to tylko dla tego, aby wyjaśnić, jak się to stało, że dłuższy czas zajwowałem się narodowemi sprawami, działałem w Towarzystwie „Proświty", nadzorowałem „teatr ruski" i pisałem; mnie pochłaniała praca, i dłuższy czas nie myślałem ani nad sobą, ani nad dolą Rusi.

Robiło się, robiło się wiele, a ja byłem uczestnikiem niejednej zbawiennej sprawy; strzeliłem nieraz i wielkie głupstwo, myśląc, że Bóg wie jak mądrze czynię...... to rzecz ludzka. O tem wszystkiem niech już kto inny wspomina i pisze. Nie o swoich sprawach ja tu mówię, ale o tem, jaki odgłos w mej duszy i jaki wpływ na mnie wywierały przekonania i sprawy innych ludzi.

Obok gorączkowego zajęcia się oświatą, stronnictwo nasze nie spuszczało z oka ugodowej polityki Ławrowskiego, od której my przecież czegośkolwiek spodziewali się.

Polityka ta upadała. Ona i tak nie była na rękę polskim zagorzalcom, a w dodatku pokazało się, że za nią nie był nikt więcej jak tylko Ławrowski, kilku posłów i nie rozwinjęte jeszcze dobrze stronnictwo narodowe ruskie.

Polacy cieszyli się, że dla nas nie będą potrzebowali czynić ustępstw, w nadziei, że nasze rozdwojenie samo doprowadzi nas do upadku — a my poczęliśmy się obawiać, że jeżeli nie przyjdzie do jakie-

---

było wykonane tu na miejscu. Strzelby te uzyskały od znawców powszechne uznanie. Były to prawdziwe cacka artystyczne. Byłoby tylko jedno do życzenia, aby p. Alfred Dzikowski rozszerzył wyroby rusznikarskie w swych warstatach na większą skalę.

Nie możemy również pominąć pani Józefy Franz ze Lwowa, właścicielki znanej fabryki gipsu przy łamach pod samem miastem. Jestto fabryka w całem znaczeniu tego słowa wzorowa; a wyrabia gips nietylko nawozowy, ale budowlany, sztukaterski i sama dostarcza wyrobów gipsowych. Szczególniej zaleca tę fabrykę uczciwość i akuratność, i na tych też warunkach polega jej wziętość. Drugiej tak prowadzonej fabryki, aczkolwiek jest ich dosyć, Galicya wschodnia nie posiada. Dziwna jednak rzecz, iż gdy w całym ucywilizowanym świecie rolniczym gips ceniony jest tak wysoko jako nawóz, u nas w Galicyi i to pod samym Lwowem znajduje za zbyt małe zastósowanie. Byłoby do życzenia, aby pisma ludowe poświęciły już teraz przed wiosną chociaż po jednym łamie, pouczającym mniejszych gospodarzy o korzyściach, jakie im gips jako nawóz przynieść może.

Chcieliśmy na tym opisie zakończyć przegląd wystawy w Tarnopolu, gdy przeglądając katalog, natrafiliśmy jeszcze na jeden ważny przedmiot. Nie zauważyliśmy go wprawdzie oglądając wystawę tarnopolską, ale gdy nam rzecz jest znaną od lat kilkunastu, nie możemy jej pominąć, chociażby dla tego tylko, aby wskazać, jak to trudno jest przeprowadzić u nas cośkolwiek w kraju, ludziom fachowym, myślicielom i kochającym gorąco ludzkość.

Do takich to należy stary weteran na polu pracy, inżynier-górnik i technolog zarazem, p. Ciepanowski. Posiadając potemu wiedzę, w chwilach wolnych od obowiązkowego zatrudnienia, pracował on nad tem głównie, jakby to w tym i owym kierunku polepszyć dolę ludu naszego. Zwrócił on szczególniejszą uwagę na chatę wieśniaczą, na te biedne nasze słomiane strzechy, na które, gdy padnie iskra, zamienia często całe wsie w perzynę. Całe mienie wieśniacze, przeobraża się w garstkę popiołu. A przecież nauka wskazuje środki, zapomocą których można i słomianą strzechę uczynić nietylko trwalszą, ale nie tak łatwo przystępną dla ognia pożarnego. Sposób ten odkrył i zastósował znakomicie nasz stary inżynier-technolog; — nie mając jednak wysokich protekcyi, a posiadając przytem troszkę za sztywny kark do ukłonów, przebywa on od lat kilkunastu prawdziwą odysseę ze swym wynalazkiem, a który jasny i przekonywający jak słońce. Pan Ciepanowski odbywał z dachami słomianemi preperowanymi podług własnego wynalazku próby publiczne, które wypadły świetnie i zyskały ogólny poklask świadków; zdawało się więc, że wobec naszych stosunków budowlanych po wsiach i miasteczkach, sposób p. Ciepanowskiego, ubezpieczenia dachów od ognia, stanie się nieomal prawem, które szczególniej władze autonomiczne winne były przeprowadzić. To warzystwo ubezpiejak krakowskie, miało obowiązek przypilnowania, iżby te dachy przy nowo powstających budowlach na wsiach i miasteczkach weszły w użycie. Tymczasem głos p. Ciepanowskiego przebrzmiał bez echa, jak na puszczy, a słomiane dachy gdy się zapalą, niszczą po staremu całe osady. Nas to bynajmniej nie dziwi, bo wobec uprawiania wielkiej polityki, wobec innych szerokich planów ekonomicznych, któżby się tam chciał zajmować chłopskiemi słomianemi strzechami, które zaświtały jakiemuś staremu maniakowi w głowie.

Nam żal tylko starego pioniera i przyjaciela ludzkości, jakim jest bezzaprzeczenia p. inżyniergórnik Ciepanowski, który stojąc już nieomal nad grobem, trudno mu będzie zstąpić doń bez żalu do społeczeństwa, a szczególnie do tych, którzy go nie chcieli zrozumieć, że opieka nad dolą ludu winna być jednym z pierwszych dogmatów po przykazaniach Bożych i kościelnych.

Na tem kończymy opis wystawy tarnopolskiej, która dawała wprawdzie nader cenne wskazówki, czem się u nas może stać przemysł krajowy, lecz z drugiej strony wynieśliśmy to smutne spostrzeżenie, iż nasze wystawy w Galicyi nie zostały dotąd uwolnione od błędów fałszywego zapatrywania się przez urządzających takowe, jeżeli zapominają celu

gokolwiek kompromisu pomiędzy nami a śto-jurcami, upadek Rusinów w Galicyi stanie się tylko kwestyą czasu.

Wówczas wpadł Wachnianin na myśl zawiązania politycznego towarzystwa pod dawną nazwą „Ruska Rada", któreby łączyło wszystkich Rusinów dla obrony zagrożonej narodowości naszej, i mówił o tem z ks. Pawlikowem.

Myśl przyjęła się, przyszło do kompromisowego komitetu i zawiązano wspólnemi siłami „Ruską Radę".

Jednak nie wszyscy narodowcy byli za przystąpieniem do tego wspólnego politycznego towarzystwa, uważając krok ten za abdykacyę z nadziei swoich w samodzielność narodowości naszej. Wiodły się długie i gorące spory pro i contra w pomieszkaniu K. Suszkiewicza, który był od 1860 roku duszą narodowej partyi i jej działania.

Jak on, tak i Wachnianin, Partycki, Romańczuk, Aleksander i Omelan Ogonowscy, Ilnicki, Siczyński, a nawet sam Ławrowski, oświadczyli się za przystąpieniem do „Ruskiej Rady", i poczęliśmy wpisywać się na członków tego towarzystwa, a aby mieć dyrektywę w naszem postępowaniu, sporządziliśmy narodowy program, przyrzekli trzymać go się święcie, postanowili założyć swój polityczny organ.

Tymczasom rozeszły się wieści, że my chcemy rozbić „Ruską Radę". Sto-jurcy zaniepokoili się i zmuszony byłem biegać od jednego do drugiego, zapewniając wszystkich, że nam ani w myśli taki czyn niepatryotyczny, i że postanowiliśmy unikać wszystkiego, co by mogło na ogólnych zgromadzeniach objawić nasze rozdwojenie. Pokazywałem nawet spis tych osób, które chcieliśmy mieć w wydziale, i wykazałem, że chcieliśmy z swojej partyi tylko trzy osoby wprowadzić do zarządu towarzystwa.

Nie pomogło. Przeciwnicy nasi postanowili wydalić z towarzystwa wszystkich wpisanych mężów narodowego stronnictwa, a my dowiedziawszy się o tem, wymogli na Ławrowskim, że w takim wypadku wystąpi z „Ruskiej Rady", motywując swój krok niepolitycznem i niepatryotycznem postępowaniem śtojurców.

Przyznam się, że nie wierzyłem, aby do tego przyjść mogło. Rzuciłem się pomiędzy ruskie duchowieństwo, które się było zjechało na zgromadzenie, wmawiałem, prosiłem i przestrzegałem, aby nie dławić zgody w samym zarodzie; a słowa moje były gorące, były przekonywające.

Pamiętam, jak w salach „Besidy" w przytomności wielu, a wielu, chwyciłem jedną ręką ks. Buczackiego z Jarhorowa, a drugą jego syna, i krzyknąłem, odpowiadając na inwektywy ks. Buczackiego:

„Wyście pracowali i cierpieli cały swój żywot dla Rusi i oto syn Wasz poświęcał się już za młodu dla niej całą dnszą, całą swą siłą. Wy patryota — i on patryota. Wy pragniecie dobra ruskiej narodowości, i on, wasz rodzony syn, pragnie tego samego. Jednak wy mówicie, żeście Moskal, a on mówi, że on — Rusin! Ojcze, rznij syna! — synu, rznij ojca! Innej rady nie znam, jeżeli nie chcecie zgody!"

Nie pomogło. Duchowieństwo było dobrze przygotowane, i nie poszło za swem uczuciem, ale poszło za niegodziwą poradą śto-jurców.

„Ruska Rada" wykluczyła ze swego łona swoich założycieli, wykluczyła wszystkich głośniejszych narodowców, oprócz K. Suszkiewicza i Ławrowskiego i napiętnowała dążności narodowego stronnictwa piętnem czarnej zdrady.

Co ona więcej postanowiła i jak wystąpił Ławrowski, a za nim i patryota bez zmazy K. Suszkiewicz, — o tem mówić nie będę. Powiem tylko to, *że krok ten „Ruskiej Rady" dopełnił rozdziału ruskiej społeczności i osłabił halicką Ruś na 10 lat*, pozbywając się takiego politycznego rozumu jak A. Wachnianin, takiej intelektualnej i oratorskiej siły jak Andrzej Siczyński, takiego charakteru jak W. Barwiński, W. Nawrocki, i wielu, wielu zdolnych i gorąco-patryotyczrych mężów.

O sobie powiem, że mię ten werdykt „Rady Ruskiej" po prostu — przeraził, bo wszystkiego innego, ale tego ja nigdy nie spodziewałem się doczekać, aby mnie, który tylko i tem grzeszył, że nadto Ruś kochał, ta sama Ruś wyrzuciła za drzwi.

Samolubstwo moje było głęboko dotnięte. Chodziłem jak ogłuszony, ciągle wzdychając i powtarzając słowa jednej poezyi mojego ojca:

„Bodaj to ruskoj dumoczki ne znaty,
Sercia ne czuty, dolu perespaty!"

(C. d. n.)

KORESPONDENCYE

Z pod starego Sącza.

A co, czy nie słusznie mówiłem w poprzednim liście, iż część winy za wykolejenia się, spada i na wiatry; oto dowód: przed kilku dniami jadąc z Suchej do Dobrej, stajemy wśród ciemnej nocy na nasypie koło Osielca; wychylam głowę i pytam co zaszło nowego? „ej panie, nie jest to nic nowego; — wiatr podniósł część podłogi z mostu i położył ją w poprzek szyn, a maszynista czując jakieś łamanie i trzeszczenie pod kołami maszyny, zatrzymał pociąg. Szczęściem ani maszyna, ani wóz żaden się niewykoleił, i mogliśmy ruszyć dalej. Zdaje się, iż budujący ów most przedsiębiorca nie wiedział dotychczas o tak pożytecznym wynalazku, jakim są gwoździe, haki itp. rzeczy. Dotarliśmy szczęśliwie do Osielca, lecz jakież było moje przerażenie, gdy usłyszałem głos naczelnika stacyi, wołającego do maszynisty, by z Osielca do Jordanowa powoli jechał. Zapiąłem futro na wszystkie pętlice, by mi dusza, która już na ramieniu była, nie uciekła, wsunąłem się w kąt wagonu odmawiając „Kto się w opiekę odda Panu swemu", i oczekiwałem z rezygnacyą mojego losu. Modlitwa widocznie poskutkowała, gdyż przyjechaliśmy szczęśliwie do Jordanowa. Tu znów przed odjazdem usłyszałem głos jakiegoś osobnika: „von Jordanow nach Chabówka langsam fahren", i rzeczywiście było langsam. Tak raz langsam a raz powoli jadąc, dotarłem do Dobrej, zkąd dostałem się do Limanowej sankami chłopskiemi, nie chcąc szczęścia próbować, aby przebyć wiadukt kolejowy.

W jednej z poprzednich korespondencyj wspominaliście, o nieproporcyonalnem używaniu łupanego szutru w stosunku do rzecznego. Otóż teraz mogę wam donieść, iż są stacye, które o rzecznym szutrze wyobrażenia nie mają.

Jeżeli mamy słuszne powody narzekania na złą pod każdym względem budowę linii Transwersalnej, na której dziś langsam albo powoli, przy 20 stopniowych mrozach jeździć musimy, o wieleż karygodniejsze są wypadki z winy zarządu pochodzące.

Wykolejenie wozu pocztowego pod Zagorzanami dnia 20. b. m. nie może być żadną miarą złożonem na karb złej budowy lini, lecz fałszywej oszczędności; tak wielka stacya jak Grybów, gdzie pociągi dzień i noc przychodzą i odchodzą, ma jednego, mówię jednego ślusarza rewizyjnego, którego obowiązkiem jest każden wóz zbadać, czy niema jakiego uszkodzenia; jeżeli ten człowiek zmuszonym jest dzień i noc być na nogach, czyż można się dziwić, iż chodząc spi, i wypuszcza wóz pocztowy z stacyi z pękniętem kołem.

Drugi wypadek więcej komicznej natury, a którego byłem świadkiem, wydarzył się w Nowym Sączu. Chcąc się dostać do domu, przybyłem na dworzec, oczekując na pociąg idący do Orłowa; wchodzę do poczekalni 3 klasy, tu sala nabita naszymi braćmi w Izraelu, oczekującymi odejścia pociągu do Grybowa. W pół godziny później powstaje pomiędzy nimi ogromny hałas, i wszyscy wybiegają na dworzec; zaciekawiony i ja wybiegam i cóż się dowiaduję: oto pociąg do Grybowa odszedł, a oczekujących na odejście tegoż pociągu chrzczonych i niechrzczonych pasażerów nikt o odejściu nie uwiadomił, a było ich 40 do 50 osób. Zapytane pzzezemnie inndywiduum, sprawujące tu obowiązki portyera odpowiedziało mi z zimną krwią: „iż wszystkim obowiązkom podołać nie może".

Powodem dezercyi 8 wagonów szutrem naładowanych ze Zwardonia na początku Grudnia, a które dopiero na czwartej stacyi przychwycono, i których przejażdżka kosztowała życie dwóch robotników, a jednego ciężko skaleczyła, nie było też nic innego jak zastosowanie fałszywej oszczędności, gdyż zamiast ludzi wyobrażenie o swoich obowiązkach mających, używano górali.

Kończę maleńką interpelacyą do Sz. Zarządu kolei państwowych. Czy główniejsze restauracye na dworcach kolejowych muszą koniecznie być żydami obsadzone? Nasuwają mi się tu pomimowolnie słowa naszego Cavoura z Krasiczyna, który powiedział, że interes pieniężny niema nic wspólnego z miłością ojczyzny; tak samo i my, miłujemy braci żydów, ale nie gdy chodzi o interes, gdy chodzi o restauracye kolejowe.

Historya ukazu carskiego

przeciwko Polakom.

Petersburgski korespondent *Schlesische Ztg.* tak pisze o doniosłem znaczeniu najnowszego ukazu w sprawie nabywania dóbr w guberniach zachodnich Rosyi: Wobec ważności tego aktu, musimy się zwrócić wstecz i zastanowić nad jego powstaniem. Po stłumieniu ostatniego ruchu, namiestnik Królestwa w r. 1864 hr. Berg, zaproponował, ażeby dobra, które uległy konfiskacie rozprzedać, częściowo kolonistom niemieckim, ponieważ ci znani byli od dawna jako zawołani rolnicy. Namiestnik wileński Murawiew nie sprzeciwił się temu w zasadzie, wyraził jednak przekonanie, że po części już zrussyfikowane gubernie, jak kijowska, podolska, wołyńska, wileńska, grodzieńska, kowieńska, witebska, mohilewska i mińska, tylko w takim razie mogą się przeobrazić na rosyjskie, jeżeli do kolonizacyi użyje się przeważnie żywiołu rosyjskiego. Utworzona w celu zbadania tej sprawy komisya, wyraziła w relacyi z roku 1865 następujące zapatrywanie: „W nowych guberniach zachodniej Rosyi, przypada na dziesięć milionów ludności przeważnie małoruskiej i litewskiej, bardzo nieznaczny procent żywiołu polskiego. Żywioł ten, który się składa przeważnie z większych właścicieli dóbr ziemskich i mieszkańców miast, wyciska jednak silne piętno polskości i nadaje guberniom tym charakter polski, nie dozwala rozwijać się prawidłowo reszcie ludności, bynajmniej nie polskiej, jest oraz główną przeszkodą, że ludność tych gubernij nie może korzystać z reform

---

i warunków fundamentalnych, czem takie wystawy być powinny, jak się należy zaopiekować wystawcami.

U nas szczególniej, gdzie w przemyśle domowym stawiamy pierwsze kroki, potrzeba innej troskliwości zbiorowej, a nie tylko frazesów jakiemi się jakieś grono osobistości posługuje, dla tego tylko, aby stworzyć decorum, że się coś robi dla dobra kraju.

Gdy jednak znowu mamy w tym roku wystawę projektowaną w Bełzie na porządku dziennym, nie omieszkamy podać naszych wskazówek i poglądów, jak wystawy takie powinne być urządzane bez pokrzywdzania prawdziwej pracy przemysłu domowego na rzecz różnego rodzaju amatorów i wyższej blagi.

J. N. z Oleksowa Gniewosz.

Uroczystość na Welehradzie:

Czem jest św. Wojciech dla narodu polskiego, tem są św. Cyryl i Metody dla Morawian i Czechów, w ogóle dla Słowian Południowych.

Oni to byli pierwszymi Apostołami wiary katolickiej między ludami słowiańskiemi, które pochrzcili.

Św. Cyryl, jak czytelnikom naszym już wiadomo, umarł w Rzymie, dokąd się z Morawi udał ze św. Metodym, i tam został pogrzebany.

Św. Metody wyświęcony w Rzymie przez Papieża na Biskupa morawskiego, wrócił na Morawią i tu po długiej pracy apostolskiej zakończył świątobliwy żywot 6. kwietnia 885 r. i pochowany został podług podania w katedrze na Welehradzie.

W roku bieżącym upłynie lat tysiąc od śmierci św. Metodego.

Nie tylko Morawianie, ale cała Słowiańszczyzna katolizka będzie obchodziła uroczystość tę wielką pamiątką.

Z całej Słowiańszczyzny katolickiej pociągną pielgrzymki na Welehrad. aby uczcić popioły św. Apostoła Słowian. Z naszych stron wybiera się także pielgrzymka, a jej urządzeniem zajmuje się w Poznaniu osobny komitet.

Ojciec św., życzliwy bardzo Słowianom, zapowiedział już zupełny odpust pod pewnemi warunkami, które poniżej podajemy.

Obchód tej uroczystości orzemieni się w wielką manifestacyą katolickiej Słowiańszczyzny, trzymającej się wiernie Rzymu. Czuje też to Moskwa i żżyma się na ten ruch między Słowianami, skupiającymi się około Papieża, a nie cara.

W obec tak wielkiego znaczenia uroczystości na Welehradzie, wypada Czytelników naszych dokładniej zapoznawać ze wszystkiem, co się obecnie dzieje dla uświetnienia tej uroczystości.

Podajemy też poniżej za innemi pismami ustępy z obszernego listu pasterskiego ks. Kardynała Fürstenberga, Arcybiskupa ołomunieckiego, zasiadającego dzisiaj na stolicy św. Metodego.

Książę Kardynał odzywa się tak do swych Morawian:

„Najdrożsi moi! Zaszła właśnie w życiu naszem chwila pełna doniosłości — nazwałbym ją najmilej sprawą serca Słowian, nas zaś Morawian w szczególności: jest nią tysiączna rocznica śmierci Apostoła kraju naszego, św. Metodego, nad którego dziedzictwem — mam na myśli całość wiary naszej św., — straż mnie ze zrządzenia Opatrzności powierzoną zostałe. Nie wielką naszą ojczystą ziemię, Morawią naszą, drodzy moi dyecezyanie, obdarzył Stwórca dziwnie łaskami swemi z pomiędzy innych krajów na świecie; wyposażył bowiem Bóg Morawią wszelkiemi pięknościami, które zachwycają i pociągają serce człowieka, czyniąc mu drogiem i miłem to miejsce, które kolebkę życia jego widziało.

Ziemia w Morawii cieszy się urodzajem, lud szlachetny, obyczajny, pełen bojaźni pańskiej, nabożny i władzcy swemu wierny. Ale przed lat tysiącem, najmilsi moi dyecezyanie, nic posiadali

przedsięwziętych przez monarchę. Siła tutejszej polskiej ludności w guberniach wspomnianych, zasadza się na społecznej spójni własności nieruchomej, która nie pozwala żadnej innej, a szczególnie rosyjskiej narodowości zrobić wyłomu. W takich stosunkach, sądzi komisya, musi rząd uciec się do środków, któreby nie dopuszczały do nabywania dóbr ziemskich, osób pochodzenia polskiego w guberniach zachodnich. Z tem wszystkiem, mniema komisya, że rozporządzenie to nie może czynić żadnego uszczerbku dotychczasowym właścicielom dóbr ziemskich w prowincyach zachodnich państwa, zapobiegnie jedynie wzmocnieniu się tej klasy narodowości polskiej".

Przytoczywszy powyższy akt urzędowy, pisze dalej korespondent petersburgski: „Po otrzymaniu powyższej opinji, wydał car Aleksander II. w grudniu 1865 r. ukaz, zabraniający osobom pochodzenia polskiego, nabywania dóbr. Rozporządzenie to w pierwszych latach odniosło skutek pożądany. Wiele dóbr, które uległy konfiskacie, przeszło w ręce rosyjskie lub niemieckie. Skoro jednak surowość prawa przeciw Polakom zwolniala, umiano postanowienie jego obejść. Skutkiem pozornych nabytków, niby w drodze kupna, dzierżaw i zastawów, zagnieździł się znowu żywioł polski w tych prowincyach, i zamiast zamierzonej russyfikacyi, rozpoczęło się na odwrót — polonizowanie. Dopomagali do tego i niemieccy właściciele, którzy skutkiem zawieranych małżeństw, wchodzili w koła polskie, a w końcu nawet nazwiska swe niemieckie, zamieniali na polskie i stawali się najzaciętszymi nieprzyjaciołmi russyfikacyi. W tych pozornych kupnach brali udział także rossyjscy urzędnicy, przychodząc w łatwy sposób do posiadania, chociaż w następstwie oddawali wszystko znowu w ręce polskie, a sami figurowali jako nominalni właściciele. Temu stanowi rzeczy ma zapobiedz najnowszy ukaz carski".

KRONIKA.

W Imieniu Jego Cesarskiej Mości!

C. k. Sąd krajowy dla spraw karnych orzekł na mocy §§. 489 i 493 sp. k. i §. 37 up. że treść artykułu umieszczonego w Nrze 19 czasopisma *Strażnica polska*, z dnia 11. Stycznia 1885 pod napisem: „Garstka", zawiera znamiona występku z §. 305 u. k., zatem usprawiedliwioną jest zarządzona przez c. k. Prokuratora rządowego konfiskata tego czasopisma. Wskutek tej uchwały wzbronione jest dalsze rozpowszechnianie tego artykułu, a zabrany nakład ma być zniszczony.

Powody: W inkryminowanym artykule zachwala autor czynności ustawą zakazane, co stanowi istotę czynu występku z §. 305 u. k., zatem wyż przytoczone orzeczenie uzasadnione.

Lwów, dn. 21. Stycznia 1885.

Wskutek konfiskaty Nr. 18. *Strażnicy polskiej* przez c. k. Prokuratoryę państwa, odbędzie się rozprawa jawna przed c. k. Trybunałem sądu krajowego we Lwowie dla spraw karnych, dnia 6. Lutego b. r. o godzinie 3 i pół po południu przy ulicy Halickiej.

Nowy proces karny, a coś tak dwudziesty z rzędu, ma znów na porządku dziennym redakcya *Sztandaru polskiego*. Aby jednak ten wypadek ludzki miał nam sprawiać jakąś drzączkę, do tego nie możemy się przyznać; — bo gdy rzecz dotyczy obrazy p. Gubrynowicza, księgarza lwowskiego, to jakoś damy sobie tam z nim radę.

Jak to mówią: nie ma jednak złego, coby na dobre nie wyszło. Redakcya *Sztandaru pol.* i na tem procesie już zyskała, bo Szan. czytelnicy *Gazety narodowej*, *Dziennika polsk.* a nawet *Kurjera lwowskiego*, gotowi myśleć, że *Sztandar polski* i *Strażnica polska* już wcale nie istnieją. Otóż tak źle dzięki Bogu nie jest, żyjemy jeszcze; o czem można się było przekonać z wyżwymienionych pism, które pomimo wyrzeczenia wyroku: solidarnego zamilczania o „piśmidłach rewolwerowych", tym razem nie omieszkały jak najspieszniej donieść urbi et orbi, że p. Władysław Gubrynowicz, księgarz lwowski, wytoczył proces karny o obrazę honoru redakcyi *Sztandaru polsk.*

Teraz znów, gdy i na nasze pisma spadł w jednym miesiącu aż trzy razy fatalizm konfiskaty, a fakta takie wonne Timesy nadpełtwiańskie z kronikarską skrupulatnością notują, zamilczają o *Sztandarze pol.* i *Strażnicy polskiej*, jako o „piśmidłach zaułkowych", wyklętych przez potęgi dziennikarskie lwowskie, Schreibjüngełesów i tym podobne znakomitości. Ze tym podobny śmieszny idyotyzm praktykuje się u Schweiggeldzistów w *Dzienniku polskim* i *Gazecie narod.* pod takimi szef-redaktorami jak eksnotaryusz Michał Sawicki i Karol Groman, to nas bynajmniej nie dziwi; ale że do tej „ligi trójdziennikarskiej" przyłączył się i p. Henryk Rewakowicz, redaktor *Kurjera lwows.*, przekonuje nas, że pogłoska, jakoby wyzwolił się z pod panowania i protektoratu czuwających nad nim w redakcyi Schreibjüngełesów, jest mylną. Inaczej p. H. Rewakowicz pomimo krótkiego wzroku, przekonałby się, że tego rodzaju zamilczanie o nas i solidaryzowanie się z organami Schweiggeldzistów, nie szkodzi nam, ale jemu samemu i *Kurjerowi lwowsk.* Pojmujemy, że zajmowanie się polityką „Agudas achim" i wysokie stanowisko jakie tam zajmuje obok profesora Dr. Roszkowskiego, nakazuje mu pilnować tego dla niego ideału narodowego. A chcąc być „koszer", nie może nic mieć wspólnego z wrogiemi organami Dr. Filipowi Zuckrowi i Zygmuntowi Frühling-Frylingowi.

Po pogrzebie śp. Tadeusza Żulińskiego, Timesy nadpełtwiańskie wraz z *Kurjerem lwows.*, w sprawozdaniach swych zamilczały również, że redakcya *Sztandaru pol.* i *Strażnicy polsk.*, zaniosła w szeregu z innymi wieniec, na grób towarzysza więzienia i tułactwa, „Apostoła wielkiej idei narodowej". Nad grobem zaś przemówił redaktor, J. N. z Oleksowa Gniewosz.

Zdziwienie z tego powodu było we Lwowie nie małe, a epitety jakie głośno wymawiano, oznaczając redakcye Timesów, nie były ciekawe dla tychże. Wyobrażamy więc sobie, w jaki humor wpadł p. Karol Groman, gdy na wyraźne żądanie rodziny śp. Tadeusza Żulińskiego, zmuszony był wspomnieć i o naszym wieńcu. Ze redakcya *Gazety narodowej* nie dostała dławicy, to rzecz dziwna i szczególna.

Nas to zamilczenie bynajmniej nie gniewa; — przeciwnie, śmieszna ta głupota prawdziwie idyotyczna, oddaje nam znakomite usługi, bo nawet dotychczasowych przeciwników naszych pism, a którzy nie są idyotami i nie zerwali jeszcze z uczciwością obywatelską, zbliża do redakcyi *Sztandaru pols.* i *Strażnicy polskiej*.

Zwracamy uwagę przemysłowców naszych, na odbyć się mającą w czerwcu 1885 r., w nieodległym Królewcu, wystawę maszyn i motorów, używanych w drobnym przemyśle i rzemiosłach. Wystawa obejmować będzie osiem grup, rozdzielonych na 36 klas, a mianowicie: motory (do 5 koni parowych) przewody, robocze, pomocnicze i rzemieślnicze maszyny, fizyczne i chemiczne aparaty, techniczne podręczniki dla wykładu rzemiosł, aparaty w domowem użyciu do celów gospodarskich, i w końcu maszyny, oraz narzędzia rolnicze. Wystawa będzie międzynarodową i ma trwać przez osiem tygodni. Rossya została zaproszoną do udziału — lecz nie o udział nam chodzi, gdyż w tym kierunku nie mamy się z czem chwalić, ale winniśmy bardzo wiele uczyć. Należy przeto, aby tutejsze koła rzemieślnicze postarały się z pewnym z góry nakreślonym programem, jak najliczniej zwiedzić wystawę, zbadać jej szczególności i organizacyę, gdyż dla postępu naszych rzemiosł, naśladowanie w naszem Muzeum przemysłowem tego rodzaju ekspozycyi, byłoby rzeczą pierwszorzędnej ważności.

„Co mi zrobisz" — czyli pan Carlo Ronchetti. Jak nam donoszą z dobrze poinformowanych źródeł, pan Carlo Ronchetti, alians baronów Schwarców, Grossów, Knauerów i ich wspólników, którzy tak prześlicznie ubrali Galicyę w budowę kolei Transwersalnej, postanowił nie ustępować z placu i dalej eksploatować. Na jego porządku dziennym jest obecnie linia „Stryj—Munkacz", gdzie już naprzód jakby był zupełnie pewien, iż tylko on tam uszczęśliwiać będzie Galicyę, kieruje swoją włoską armią. Nie jest już tajemnicą, pod czyją firmą będzie budował Ronchetti kolej Stryj-Munkacz. Firmę tę, ale tylko firmę ma dać jakiś p. Roth, który stoi w bardzo bliskich stosunkach z p. Br. Schwarz, ale nie jest jeszcze przynajmniej w Galicyi skompromitowany. Za firmowanie budowy kolei Stryj-Munkacz ma on być innem przedsiębiorstwem — „odszkodowany".

Pewni nasi pp. delegaci w Radzie państwa, mają i o tych planach wiedzieć, lecz czy uważać będą za właściwe i nieszkodliwe ich pracom na polu „wyższej polityki", o tem się wkrótce przekonamy.

Z życia towarzyskiego. Rubryka ta, mianowicie w karnawale nader pożądana, nie jest specyalnością naszego pisma. Tym razem jednak odstępujemy od zasady, aby dać wyraz prawdzie. W sobotę odbył się bal techników w sali kasyna miejskiego. Jak wiadomo, bale te odbywają się z takim przepychem dekoracyi sali i przybocznych apartamentów, na jakie się inne grona towarzyskie zdobyć nie mogą. Przepych ten nie jest wprawdzie bardzo kosztowny realnie, ale zasadza się na pomysłach i twórczości prawdziwie artystycznej. Wielu z lwowian pamięta jeszcze od roku zeszłego pyszną dekoracyę która przedstawiała dno morskie z jego wszelkiemi cudami. W tym roku pomijając już prawdziwie artystyczną dekoracyę sali głównej w rośliny i emblemata techniczne, przyboczna salka dla dam, przedstawiała czarodziejski urok. Za temat posłużył „Wschód", Wchodząc do tego przybytku wytchnienia, było takie złudzenie, iż śmiertelnikowi lub śmiertelniczce mogło się słusznie zdawać, że się znajduje w pałacu jakiegoś Naboba, sułtana egipskiego. Trzeba było mieć rzeczywiście wysoko rozwinięty zmysł artystyczny, aby z taką ułudą coś podobnego stworzyć. Kolumnada w stylu wschodnim maurytańskim, obicia w kosztowne materye, suflt, a na ścianach akcesorya bojownicze i inne, oraz i wszystkie sprzęty, tworzyły piękną harmonię. Pavilon ten oświecony od sufitu ażurową lampą w piękne ciemne floresy, z której jakby magiczne światło, dodawało uroku. Widok z pawilonu wychodził na śliczny krajobraz, rozpoczynający się żywemi tropikowemi roślinami, a kończący

---

przodkowie nasi cnót onych, pomimo usposobienia z natury szlachetnego.

Oparzność Boża temu lat tysiąc zmiłowała się nad Morawią i dwaj bracia Konstanty (t. j. Cyryl) i Metody pozyskali ją Chrystusowi.

Konstanty i Metody ujrzeli światło dzienne na Wschodzie: kolebką ich był Soluń (Tessalonika) Znamienite ich przyrodzone skłonności rozwinęło prawdziwie chrześcijańskie wychowanie: obydwaj odznaczali się tak bystrością umysłu, jak i dobrocią serca.

Zdolności ich pozyskały im łaskę u cesarza; życie zaś pobożne podobało się Bogu, który ich wybrał na swych Apostołów. Zbawcze swe prace rozpoczynają obydwaj bracia w potężnem państwie Chazarów, a szlachetne ich wysilenia błogosławi Pan; naczelnicy państwa zniżają swe karki pod słodkie jarzmo Chrystusa i Bóg dozwala Apostołom odnaleść szczątki Klemensa Papieża. Ukończywszy zadanie swe, wracają bracia wśród najgorętszych życzeń i błogosławieństw, prosząc w nagrodę o wolność dla więźniów wojennych.

Na tej to pierwszej misyjnej wyprawie poznali obaj bracia, jak łatwo i jak dzielnie przenika serca słowo również z głębi serca wychodzące; a geniusz Konstantego nie tylko że uchwycił i przyswoił sobie przeróżne słowiańskie narzecza, lecz nadto założył podwalinę przyszłej słowiańskiej literatury.

Teraz nastała godzina miłosierdzia także dla naszych przodków: w roku 862 prosił Rościsław, władzca Moraw, greckiego cesarza Michała III, żeby posłał na Morawy nauczycieli, którzy świadomi języka ludowego, opowiedzieliby mu niebieską nowinę.

I przyszli Apostołowie. W roku 1863 obchodziliście, moi najmilsi dyecezyanie, tysiączną rocznicę przybycia Apostołów kraju naszego w sposób godny was, mojej archidyecezyi, a nawet całej Morawii. Głęboko wzrusza serce moje wspomnienie roku, w którym mogłem widzieć, jak wdzięcznie wspominają nasze serca dobrodziejstwa, które wyświadczyli waszym ojcom święci nasi Apostołowie.

Ledwo stanęły stopy świętych na naszych ojczystych błoniach, zaraz poczęli głosić naukę Ukrzyżowanego naszym ojcom. Z radością przyjęli Morawianie Ewangelią, wykonywali chrześcijańskie cnoty, wyrzekali się błędów i porzucali zwyczaje niezgodne z chrześcijańskim zakonem.

Dwaj bracia przeszli naszą Morawią i sąsiednie okolice, zamieszkałe przez Słowian i Niemców; wszędzie siali ziarno chrześcijaństwa. I ono przyniosło owoce. Prędko stanęły świątynie, gdzie bezkrawa ofiara nowego przymierza oddawała cześć Bogu w Trójcy Jedynemu. Bracia zaciągnęli szlachetną młodzież do pracy, wysyłali misyonarzów, do współbraci. Słowo Boskie nie tylko ustnie, ale na piśmie poczęto wykładać naszym przodkom: powstały nowe szkoły, gdzie chleb żywota im podawano.

Ten szybki postęp wiary przypisać należy przy łasce Boskiej prostemu, lecz pragnącemu poznania prawdy charakterowi Morawian. Kiedy w innych krajach odnosili misyonarze wieniec męczeński, nasi przodkowie współubiegali się w miłości i przywiązaniu ku swoim Apostołom. Lecz nic nie ma stałego na świecie i mało chwil szczęścia niezamąconego. I naszych Apostołów wstrzymało w ich świętem dziele niegodne współzawodnictwo i poziom niechęci: zielsko, które nigdy nie powinnoby było się pojawić w winnicy pańskiej. Źle przedstawiano sobie szlachetny zamiar Apostołów, którzy dla pozyskania dusz Chrystusowi używali brzmień ojczystej mowy, błędnie wykładano najszlachetniejsze usiłowania.

Trzeba było im sprawiedliwość oddać, a to mogło stać się tylko przez wyrok papiezki. Rządził wtenczas łódką Piotrową Papież, którego bystrość była przenikającą, a serce pełne najszlachetniejszych uczuć. Był to papież Mikołaj, tego imienia pierwszy.

Z radością poszli bracia za głosem do nich wydanym; pospieszyli do Rzymu, do Ojca chrześcijaństma; oddali jemu zwłoki św. Klemensa, usprawiedliwili swoje postępowanie w ulubionej Morawii i oddano im sprawiedliwość. C. d. n.

malowniczą dekoracyą, która przedstawiała ruinę świątyni w okolicach Kairu, jakby występującą z lazuru południowego nieba. Całość tego pawilonu wraz z dekoracyą, mogłyby śmiało nawet w najpierwszych stolicach na balach królów i książąt ubiegać się o poklask. Na tych uwagach kończymy opis a przystępujemy do epilogu:

Znakomici reporterzy Timesów i Kurjerów lwowskich, jest to zupełnie nowa species protektorów, z których każdy ma swoich odrębnych klientów. Reklamy ich graniczą jednakowoż często ze śmieszną bezczelnością, a którą nie reporterom, ale ich protegowanym szkodzą. Tak się też stało i przy opisie balu techników. Jeden doniósł, że twórcą tych pysznych dekoracyi i własną ręką malowanego kajobrazu perspektywicznego jest p. Ken politechnik; drugi znów ostrowidz głosi znowu sławę p. Sozańskiego artysty malarza dekoratora, który go zapewne o to nie prosił ani też upoważniał, gdyż jak przekonani jesteśmy, tak jeden jak drugi z tych panów zanadto cenią własną godność, aby się do podobnej blagi uciekać.

Wykonawcą głównym całej dekoracyi sali pawilonu i krajobrazu, który własną ręką malował, jest nie kto inny tylko znakomity nasz architekta p. Kamienobrodzki. Jemu też w pierwszym rzędzie należy się uznanie. Panowie Sozański, Ken i kilku techników pomagali mu dzielnie w tej pracy, której jeden człowiek oczywiście wykonać nie mógł, a płatnymi wsp(łpracownikami posiłkować się w takich razach nie można, bo tu potrzebne zrozumienie artystyczne.

Ubierać drugich w pawie piórka a zapominać o pierwszym zupełnie, gdy się to nareszcie dzieje na lwowskim bruku a nie w Paryżu, Wiedniu lub Londynie, gdzie można być w błąd wprowadzonym, czegoś podobnego może się tylko dopuścić lwowski reporter, udający protektora artystów.

Donoszą nam z Kołomyi, że E. H. Schreyerowi i spół. zdarzył się temi dniami nader niemiły wypadeczek. Drohobycka ta firma, należąca do znanej tu u nas kliki talmudyczno-jezuickiej: Goldhamera, Gartenbergów, Libermanów etc., posiada rafineryę nafty w Kołomyi i pobiera kipiączkę z kopalni braci Spindler i tow. z Peczyniżyna. Otóż za tę kipiączkę trza płacić. — E. H. Schreyer i spół wyrachowali, że jeźli kipiączkę z tych kopalń wezmą bez wiedzy właściciela, to im to taniej wyniesie. Polecili więc swemu wiernikowi Getzlowi Altman, ażeby jeden rezerwoar, mieszczczący w sobie 50 beczek kipiączki, wartości około 2000 złr. wyprowadził z kopalń w tańszy sposób. — Pan każe, sługa musi, osobliwie jeźli sługa taki sam, jak pan. Altman porozumiał się z kasyerem kopalni; ten wziął pozornie 500 złr. za „Geschäft", kipiączkę wydał, ale równocześnie zawiadomił braci Spindlerów i spółkę, jako ich krewny, o tem co się stało...!

Ci G. Altmana z kipiączką capnęli na gorącym uczynku i .... zamierzyli całą sprawę oddać do karnego sądu...!

Altman w krzyk, że mu tak Schreyer zrobić kazał. Spindlery do Schreyera, a Schreyer do kasy; zapłacił biedaczysko 6000 złr. aby Spindler milczał.

Nieszczęście chciało jeszcze do tego, że ze Spindlerem w spółce był Hersch Finkelstein, Kołomyjski Goldhamer. Finkelstein milczeć nie chciał, aż mu Schreyery dali osobno 10.000 złr.

Tak więc fachowo przez Schreyerów et Comp. obrachowany tańszy sposób wywozu nafty z cudzej kopalni, jakoś się w Kołomyi nie udał. Za 2000 złr. zapłacili Schreyery 16.000 złr., kipiączkę nazad oddać musieli, a oprócz tego bracia Spindlery zerwali z nimi wszelkie stosunki handlowe, mówiąc że to nie Borysław...! Radzimy braciom Spindlerom mieć się jednak na baczności, bo członkowie wspomnianej kliki nigdy nie dają za wygrane i pozostają w bliższych stosunkach z borysławskimi „kuczynerami", niż się Spindlerom to zdaje!

Korespondencya od Redakcyi.

Wzywamy pp. Leona i Władysława Czajkowskich, którzy przed kilku laty byli przy budowie kolei w Rumunii, Serbii czy też Bułgaryi, aby jak najspieszniej podali swój adres do naszej redakcyi. Szczególniej zależy na adresie p. Leona Czajkowskiego, którego familia poszukuje we własnym jego a ważnym interesie. Być może, że [illegible] z Rodaków wie o pobycie pp. Czajkowskich, niech więc raczy donieść.

Od Administracyi.

Wszystkie należytości i zaległości tak z prowincyi jak i miejscowe, prosimy przysyłać za przekazem pod adresem:

Do Administracyi Sztandaru polskiego (lub Strażnicy polskiej), na ręce p. Szczęsnego Bednarskiego, w drukarni p. Anny Wajdowiczowej, Rynek l. 9. we Lwowie.

Prenumerata na „Sztandar polski" i „Strażnicę polską" wynosi kwartalnie we Lwowie z przesyłką pocztową 1 złr. 70 ct., na prowincyi 1 zł. 75 ct. za granicą 2 złr. rocznie na prowincyi 7 złr., za granicą 8 złr.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **J. N z Oleksowa Gniewosz.** Z drukarni Anny Wajdowiczowej (pt. Poremby), Rynek l. 9.
Pod zarządem Szczęsnego Bednarskiego.